

1 miejsce

Julian Pawłowski

Szkoła Podstawowa z Oddziałami Mistrzostwa Sportowego w Kwidzynie

Nauczycielka Bożena Lemańska

Radość zwycięstwa

Nadszedł upragniony czas. Wyszedłem na rozgrzewkę. Z nikim nie rozmawiałem, byłem całkowicie skupiony na meczu. Miałem wewnętrzną ochotę na grę. No i zaczęło się.

Mecz MTS Basket Kwidzyn kontra Czarni Słupsk. Mecz o 3 miejsce w lidze i awans na mistrzostwa Polski. I my, i oni potrzebowaliśmy wygranej. Porażka oznaczała piąte miejsce i zakończenie sezonu. Początek spotkania jak zawsze zacząłem na ławce. Tym razem jednak coś mi nie pasowało... Moje nogi same paliły się do gry, chciały natychmiast wejść na boisko. Zacząłem się stresować, ponieważ tym na parkiecie nie szło zbyt dobrze. Widać było przewagę klubu ze Słupska. Zaczynali nas przyciskać, atakowali coraz agresywniej, a ich obrona powoli stawała się nie do przejścia. Po pierwszej kwarcie totalnie nas zmasakrowali. Wynik to 20:4 dla rywali. Nie wiem, czemu nasz trener tak długo zwlekał ze zmianami... Może się bał, że ci z ławki jeszcze bardziej popuszczą wynik. Pierwszą zmianę przeprowadził po piętnastu minutach gry. Niestety, nie byłem to ja. Na przerwę schodziliśmy z wynikiem 48:27. Myślałem, że w szatni czeka nas surowy ochrzan. O dziwo, trener nawet się nie zjawiał... Zacząłem samotnie rozmyślać, co poszło nie tak, powoli analizowałem nasze błędy i mocne strony, których niestety było bardzo, bardzo mało. Spojrzałem po drużynie. W oczach niektórych widziałem iskry, potężną chęć walki. Nikt nie zamierzał rezygnować. Wyszliśmy wszyscy razem. Nadal siedziałem na ławce, nawet na sekundę nie powąchałem parkietu. Gdy wreszcie, w czasie trzeciej kwarty, przy wyniku 51:32 usłyszałem: „Julek, wchodzisz”. Serce zabiło mi mocniej. Czuję, że to na ten moment pracowałem te wszystkie lata. Znalazłem się na parkiecie. Pierwszą akcję mieliśmy w ataku. Dostałem piłkę, wykonałem kozioł, drugi... Wszystko szło tak... łatwo. Uśmiechnąłem się pod nosem. Już wtedy wiedziałem. Jestem gotowy. Przechyliłem ciężar ciała na prawo i gwałtownie zmieniłem kierunek na lewo. Obrońca padł na boisko. Zrobiłem to tak szybko, że nogi mu się poplątały. Wykonałem jeszcze jeden kozioł i skończyłem akcję celnym rzutem. Na tablicy widniał wynik 51:34. Trener Słupska wziął czas. Miałem prośbę do trenera. Powiedziałem mu ją na ucho, a on powtórzył drużynie. Tak, prosiłem, aby wszystkie piłki kierować do mnie. Wiedziałem, że wiele, jak nie wszystko, zależy ode mnie. Powróciliśmy na boisko. Nie minęły 3 minuty, ja już „położyłem” 4 kolejnych rywali i trafiłem dwie trójki i raz za dwa punkty. Zaczynaliśmy ich doganiać, nasza przewaga na boisku stawała się widoczna. Koniec, koniec trzeciej kwarty. Wynik na tablicy to 54:53 dla rywali. Miałem na swoim koncie 17 punktów. Jeżeli utrzymamy swoje tempo, to wygramy z kretesem. Mimo tych kilku minut, które spędziłem na boisku, wcale nie czułem zmęczenia. Wręcz przeciwnie, ciągle

przybywało mi sił. Pewny siebie wyszedłem na parkiet i czekałem na piłkę. Rozglądałem się uważnie... W drużynie ze Słupska pojawił się nowy zawodnik. Niższy i chudszy ode mnie, strasznie wątko wyglądał. Nie przejąłem się nim. Sędzia podał piłkę do wybicia, zrobiłem dwa kroki w jego stronę i... Nie otrzymałem piłki. Leciła w moją stronę, ale jej nigdzie nie było! Nagle słychać było krzyki na ławce przeciwników. Zdażyłem się obrócić i... zeszywniałem. Ten malutki, wątki gracz właśnie trafił nam punkty. Czyli to on przechwycił podanie kierowane do mnie. Szybko pobiegłem wybić piłkę i od razu mi odegrali. Szukałem wzrokiem tego niskiego... Nie widziałem go... Nim się zorientowałem, nie miałem piłki i znów straciliśmy punkty. Zezłościłem się całkowicie. W następnej akcji udało mi się go dojrzeć. Biegł bardzo szybko, ale na szczęście zdażyłem zmienić rękę kozłującą. Minąłem się z nim. Przebiegł obok, zahaczając o dłoń, w której przed ułamkiem sekundy znajdowała się piłka. Zacząłem biec do przodu, ale wiedziałem, że on tam jest. Że mi nie odpuści. Mimo mojego idealnego dnia, strasznie się z nim męczyłem. Losy meczu rozstrzygały się pomiędzy mną a nim. Reszta zawodników z obu drużyn tylko robiła miejsce, nie chciała nam przeszkadzać. Koniec meczu zbliżał się coraz bardziej, wynik nadal był bardzo remisowy. Zerknąłem na tablicę. Dwadzieścia sekund do końca meczu, przegrywamy 71:70. Potem spojrzałem na kolegów i nie widziałem po nich zmęczenia. Przez to, że to ja kryłem niskiego, oni nie mieli nic do roboty. Plan mi zaświtał w głowie. Mieliśmy piłkę pod naszym koszem, wybijaliśmy z autu. Od razu trafiła do mnie. Całkowicie skupiłem się na tym rywalu. Nie mogłem stracić piłki. Z każdym kozłem było coraz ciężej. On był bardzo szybki... Nagle, będąc na połowie, oddałem rzut. Idealny rzut, leciał tak, jak chciałem. Piłka odbiła się od tablicy i wpadła w ręce niekrytego Lisa. Ten, jako jeden z najlepszych u nas w drużynie, ugiął nogi i z całej siły wyskoczył w górę. W ostatniej sekundzie spotkania zapakował piłkę z góry do kosza. Pierwszy raz wykonał wsad, który nie tylko był efektowny, ale i efektywny. Zapadła cisza. Wszyscy patrzyli na tablicę i sędziego. W momencie, gdy wynik pokazywał 71:72 dla nas, ogarnął nas szal radości. Cieszyliśmy się niezmiernie, niektórzy płakali ze szczęścia. Ja stałem na środku i nie wierzyłem. To było zbyt piękne. Zwyciężyliśmy już przegrany mecz.

Moje myśli krążyły w głowie jak szalone. Owa sytuacja sprawiła, że ten dzień był jednym z najszczęśliwszych w moim życiu. Zawsze chciałem osiągnąć coś wielkiego w sporcie, który kocham. Naprawdę długi czas pracowałem, aby móc w końcu być zwycięzcą. Nie zawsze jednak było lekko. Niekiedy miałem dosyć ciągłych treningów i tego, że nie mam czasu na gry komputerowe jak moi koledzy. Czasami też ciężko mi było zaakceptować porażkę, choć lzy smutku też wiele mnie nauczyły. Do teraz nie mogę pojąć

tęgo, co się stało. Jedno jednak wiem na pewno - warto stawiać sobie cele, warto gdzieś po drodze do ich realizacji upadać i warto podnosić się z każdego upadku. Bo nie cel jest w życiu najważniejszy, lecz droga do niego.